

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ — SZATAN  
 KONRAD WINKLER — „NATURALIZM” GIERYMSKIEGO  
 T. S. ELIOT — WĘDRÓWKA TRZECHKRÓLOWA  
 ROMAN KOŁONIECKI — FRANCUZI GÓRA  
 ARTUR RZECZYCA — DWA WIERSZE

LUDWIK EMINOWICZ

## WIELKA ZMOWA

Już dzień trzeci leży nieruchoma.  
 Złe się kończy takie bezrobocie...  
 Ludzie kroczą chodnikami dwoma,  
 by ją wywieźć ku podziemnej grocie...

W gęstwie mroków, pętających ściany,  
 toypromienia jakies nikle znaki...  
 W ręk zaplocie trzyma krzyż drewniany,  
 jak kółatkę do brany — w gwiazd szlaki...

W ramie skrzyni ze stalowej blachy  
 trwa milcząca... Tuż gromnice stoją.  
 Hej, to białe, wielkie jakies szachy  
 przyszły bić się za królową swoją...

Niech jej bronią: — już czarne figury  
 w pióropuszech zulekły się z daleka.  
 Na ich czele sunie król ponury,  
 znany wszystkim pod imieniem wieka...

Zbir straszlicy! Pragnie się wydstać  
 na najwyższy tutaj wschód, gdzie słabo  
 puls uderza... — i zbiegł tam postać  
 w otchłań zepchnąć bezlistną sztabą...

Gdzież król biały?! Chodzi po rubieży  
 owej tęczy, która tży obleka...  
 Jest nim obłąd, szal biały, co wierzy  
 w nieśmiertelną doczesność człowieka...

Raz okrzyknął: „Ta w trumnie jest żywa,  
 tylko walczy ze śpiączką zdradziecką...”  
 Nikt nie słyszał. Jak to zwykle bywa,  
 posłyszalo jedno male dziecko...

Lecz to dziecko, to jeden z dwóch graczy,  
 co się tutaj cierpliwością mierzą...  
 Jest tak biedne, że przeciwnik raczy  
 nie forsować starcia z białą wieżą...

Posel grobowe, co skrzydłem obiera  
 z resztek życia złamanego — zwłoki,  
 przy tych bierkach wstydy się partnera  
 i rozgrywa partię przez obłoki...

Z najczarniejszych pól przestworu patrzy  
 na katafalk i ciąg swój odzleka...  
 Czyżby nie chciał dać mata? Najradszy  
 traf to byłby w historii człowieka...

Nim tę sprawę rozstrzygnie Sąd Boży,  
 mały szachmistrz wie, że matka mruga  
 powiekami... Wkrótce je rozтворzy.  
 świat rozjaśni drogich spojrzeń struga...

Więc, zaiste, choćby dziś nie wstała  
 z białej ciszy, pogrzeb to stracony.

Nie powiozą, nie powiozą ciała,  
 choć z ulicy nawolują dzwony...

Tu zostanie na tych stopniach z drzewa,  
 gdzie dwa rzędy płomieni migocą...  
 Niech porwania nikt się nie spodziewa,  
 On przy śpiącej będzie dniem i nocą...

Aż wytrwałność czarownicy dokona,  
 że się smutek w krzyk radości zmieni: —  
 W pion zwycięski znów się wzniesie Ona  
 spośród kwiatów, którym brak czerwieni...

Tylko szkoda, że ci goście mnodzy  
 nie chcą stanąć... Włóczą się, jak mrowie...  
 Tych lazików trzeba mieć na wodzy...  
 Idzie ojciec — zaraz mu to powie.

I wyszeptal w przyroście rozpaczy:  
 „O ratunku nie myślą ci ludzie...”  
 Na to rodzic skinął: „nie-inaczej,  
 przejść się muszą po pracy, po trudzie”.

I zamilkł, bo weszły weń z syna,  
 jak w ulicę z ulicy przechodnie,  
 jakies mary — każda z nich się wspina  
 w błękit wspomnień, zapala pochodnię...

I — zobaczył: — tak, to było w chwili,  
 gdy zmierzch szary kulał po tej sali.  
 On i żona w krzesłach się ukryli  
 poza stołem i podpatrywali...

Rzekła raptem: „W meblach drzemią części  
 tego Ducha, co porodził bory...  
 Im się skarżę, gdy mi się nie szczęści,  
 choć dla bliźnich szczęśne mam pozory...”

„Przyjdzie pora: — cicho się ułożę,  
 jak te rzeczy martwa, tajemnicza...  
 I przetrzymam wielkie Sady Boże  
 cierpliwością, co się nie przelicza...”

„Sprzęty znają żal mój i cierpienie.  
 Im uwierzy Boska Sprawiedliwość.  
 I w odpłacie da mi przemienienie,  
 wróci zdrowie, wróci twój tklliwość...”

Gdy zamilkła, zaśmiał się boleśnie:  
 „Choć żartujesz, pomysł to nie głupi.  
 Razem z Tobą legną i, jak we śnie,  
 kształty swoje dzieciak nasz osłupi...”

Służba skrzepnie. Nadbiegnie widz mnogi.  
 A kto spojrzy, stanie, jakby wryty  
 i niebawem izby, sien i progi  
 będą pełne nieruchomej świty...

Dom domowi zwierzy się z tej modły,  
 miasto miastu rzuci przykład gestu.  
 Jak te meble z dębu, z brzostru, z jodły,  
 cała ludzkość spocznie dla protestu...

Aż potęga, co nad światem władą,  
 wejrzy baczniej w drętowych rzesz miliony,  
 w bierny opór człowieczego stada  
 i na zmianę wróci raj stracony...

„Och — przerwała — mówisz wcale ładnie...  
 Gdy zastygne, znudzisz się żalobą...  
 Ktoś — coś nagle wprawi w ruch zapadnię,  
 jaką zawsze każdy ma pod sobą...”

„Przez przerebłą, ciętą w śliskiej glebie,  
 runę w przepaść, z której nikt nie wraca.  
 Łamistrąjku, unet otrzeźwi ciebie  
 podająca piach mogiły taca”.

„Wraz z innymi schwycesz grudki gliny,  
 rzucisz za mną w ciemny dół grobowy.  
 I przyspiesz, strojąc smutne miny,  
 przypomnienie naszej Wielkiej Zmowy...”

— Tak mówili wtenczas. Dziś pacholę,  
 choć wymysłów tych tam nie słyszał,  
 jakimś cudem czerpie z nich swoją rolę  
 i wokolo sieje myśl zuchwałą...

Czy z praocjów idzie w pokolenia  
 skłon ku wielkiej, ku powszechnej znowie?  
 Z każdym zgonem ściece rozplomienia,  
 by strzec trupa, niby oka w głowie...

Ale przedmiot straży, w kir ujęty,  
 zawsze znika... — Czemuż w sercach tyle  
 sił nie mają te spiski fermenty,  
 ile w ziemi pachnące bakcyle?

„Muszę pomóc chłopczyni...” — lecz było  
 już za późno!... Już wchodzili księża...  
 Więc powinność spełnił: — stał się bryłą  
 nieruchomą — „niech przykład zwycięża...”

Widać w ludziach dźwiękla struna bratnia!  
 Gdy stuknęła trumienna pokrywa,  
 zrozumiano, że się zwierca matnia —  
 zbieg przybyszów naraz w tłum się spływa...

Barzą oczu szalonych są oni.  
 Spiorunują złe, co się tu jawi,  
 by skraść wizję... — — Dies irae dwoini,  
 wstecz ich cofa, jak wiatr ogon pawi.

I — bunt zelzał: — koniec Wielkiej Zmowy...  
 Posel grobow zrobil ciąg narezniec

czarnym królem aż do stóp królowy —  
mat!... — Król biały szept: „spi... nie bierzcie...”

— „Nie!!!“ — rozszalał straszny pojedynek  
dziecka z wiekiem... Któż wyszedł zwycięsko?  
Własną pierśią nakrył matkę synek  
i — z wiecystą wyszedł z trumny kłęką.

Gdzie pogrzebne walają się graty,  
legł, — wpuśczeniem słońca w okna — ślepy.  
Jak z papieru złożone fregaty,  
drobne ręce walczą z falą krepki... —

Wzięli matkę... Wzięli — rzecz to pewna,  
te we dwoje spędzane dni trumny...  
Zostawili trupie czaszki z drewna,  
porzucili świeczników kolumny.

Och, okropność! Gwałt to niesłychany!  
Co tu począć. Jeszcze ich dogoni!  
Wszak powoli jadą karawany —  
Jeszcze zdąży tam, gdzie poszli oni.

Strach mu nie być z matką na pogrzebie  
tego cuda, co sprawiał, że wzajem  
mogli widzieć i dotykać siebie... —  
Loch ją schlonie pod okrutnym gajem!!!

„Idę! Idę!!!“ — — Z trudem stawia nogi;  
Litościwą pomoc daje służa.  
Chodźmy! Chodźmy! Tyle jeszcze drogi!  
Przejdź! Przejdź! Droga taka długa!

Śpieszą, śpieszą — w krąg dzwony i dzwony  
z okien wieży cisną się i tłoczą...  
Nawolują w pochód wydłużony  
za karocą przedziwnie przeżroczą...

Nigdzie śladu konduktu ni trumny.  
Czyżby pędem rumaki przebiegły?!  
„Mamo! Mamo!” — Nadleciał wiatr szumny,  
rzucił wieści między domów cegły.

To w przecznicy, jak w gardle z kamienia,  
dźwięk zachrząścił od cmentarnej strony...  
Żalobnego marsza zawodzenia  
napłynęły w budowlę frontony.

Śpiesz się, dziecko! Przetnij plac ten głuchy.  
Bieź, co żywo, pod znaki żaloby.  
Tam ci czarne przypomną świecuchy,  
żeś grał w szachy z upiorem, trzy doby...

Ze wierzyłeś, że ludzkość potrafi  
śmierć powstrzymać mocą Wielkiej Zmowy;

żeś formował przeciw tajnej mafii  
mgieł niewidu — jakiś zryw zbiorowy... — —

Śpiesz się, dziecko! Wkrótce się zrównacie.  
Nie uciekną cztery kornie kare.  
Tam na mglistym przedmieściu kwadracie  
Krzyż prowadzi obrzędników chmarę...

Tam na zawsze w cień odchodzi Ona,  
co tak bardzo, kłiwie Cię kochała —  
trupia skóra, kością podkreślona —  
jeszcze zmięta wagą twego ciała...

Tam na zawsze znikają Jej oczy...  
Tam na zawsze przepada Jej głowa.  
Na powrozie, co trumnę w grób stoczy,  
przedrga smutnie twoja bań trzyniośca...

Przebrzmi grobko w cmentarnym zalombie,  
w zimnym grobie zagaśnie i zblednie...  
Ściąga będziesz po latach, świadomie,  
coś wyczuwał przez trzy dni, półwiecznie...

Sp. Stanisławowi, Bratu, poświęcam w żalobie

LUDWIK EMINOWICZ

## WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

# S Z A T A N

Ukazał się na zakręcie ulicy i szedł prosto do sądu równym, sprężystym krokiem. Pan posterunkowy Giza. W sztywnej, okrągłej czapce z wielkim daszkiem, w nowiutkim granatowym mundurze jak z igły, w butach z glansowanymi cholewami, które połyskiwały w słońcu. Ludzie, tutejsze małomiasteczkowe ciury, rozstępowali się przed nim po bokach ulicy i dlatego już z daleka było go dobrze widać, jak szedł z podniesioną głową, nadęty, ważny, przejęty władzą którą mu powierzono. Przybliżył się. Nadchodził. Słychać już było nawet miarowe uderzenia podkutych butów o bruk. Idzie...



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Miejscowy złodziej zawodowy Leon Kurodym, przewiśkiem Szatan, wpatrywał się zweżonymi oczyma w nadchodzącego policjanta. Odgłosy kroków wibowały mu się w serce jak noże. On, Szatan, nie przez kogo innego, tylko przez Gizę odsiedział już raz niewinnie pół roku! Giza zelgał wtenczas przed sądem, że widział jak on wiał! To było bezczelnym kłamstwem, bo kradzież u Szwarców, że widział jak on wiał! To było bezczelnym kłamstwem, bo kradzież u Szwarców robili Szczęotka i Matusiak, ale sąd — wiadomo — nie da wiary złodziejowi... Sąd wierzył posterunkowemu Gizie. Za te pół roku więzienia Szatan miał się jeszcze porachować z Gizą, no!...

Policjant wszedł do sieni i zatrzymał się na progu, tuż obok Szatana; zatrzymał się na chwilę, tyle tylko ile trzeba, by zmierzyć złodzieja drwiącym spojrzaniem i uśmiechnąć się triumfująco — ale przez tę krótką chwilę Szatan przeżywał mękę. Czuł z bliska woń szuwaku i rzemieni Giszowych i czuł w sercu czołochę nie zaspokojonej zemsty, a w głowie szum i zamroczenie... Taki szum i zamroczenie czuł zwykle przed każdą awanturą i bał się teraz żeby go nie poniosło, ile że miejsce i chwila były nieodpowiednie. Na szczęście, gdy uniósł głowę, zobaczył już tylko plecy Gisy, obciągnięte pięknym granatowym sukniem, ginące w otwartych drzwiach sądu. Na dziś była wyznaczona sprawa krawca Rembauma i jego żony, oskarżonych o paserstwo, i Giza przyszedł tu pewnie jako świadek. Szatan wypalił po mału papierosa, splunął, przydep-

tał niedopałek końcem buta i po chwili wahańia udał się również do sądu.

Mała, niska sala na parterze była wypełniona do ostatniego miejsca: ludzie tłoczyli się, stojąc w środkowym przejściu między ławkami, i Szatan z trudem wyrobił sobie kąt pod ścianą. Rosły i barczysty, widział stąd jednak dobrze ponad głowami tłoczonych Żydów i chłopów wszystko, co się działo na drugim końcu sali.

— ...a tobół z rzeczami — zeznał właśnie Giza — odnalazłem w mieszkaniu oskarżonych.

Po tych słowach świadka nastąpiła długa cisza. Oskarżony krawiec Rembaum otworzył usta, chciał coś mówić, ale w tej chwili żona pociągnęła go za rękaw. Lepiej — milczeć!... Oboje wpatrywali się z lękiem w tajemnicze bóstwo za stołem: wędzkiego w czarnej todzie i pończacym łańcuchu na ramionach.

Nieszczęściem oskarżonego Mendla Rembaum było, że nie mógł udowodnić, skąd się u niego w mieszkaniu wziął tobół skradzionych rzeczy. Jakiś człowiek przyniósł tobół, zostawił, wyszedł i nie wrócił więcej — takie tłumaczenie nie mogło trafić ni-

komu do przekonania. Sędzia wruszał z niedowierzaniem ramionami; oskarżyciel, przodownik policji, uśmiechał się drwiąco i krawiec Rembaum czuł, że mu nie wierzą — czuł się zgubiony. Mały, chuderlawy, czarny, stał przed stołem sędziowskim pobladły ze wzruszenia i w jego pięknych oczach bruneta palił się strach i rozpacz.

Oskarżyciel, przodownik policji, poruszył się przy swoim pulpicie i stuknięciem obcasów zmącił wielką ciszę. Ów odgłos stał się hasłem ogólnego odprężenia: żydowsko-chłopska publiczność poruszyła się i wydała zbiorowy pomruk, westchnienie ulgi. Szatan poruszył się również. Przyciętny do ściany, przysłuchiwał się pilnie zeznaniom policjanta.

— W tobole były dwa garnitury i palto jesienne — ciągnął świadek. — Oskarżony jest krawcem i kupił te rzeczy na handel, wiedząc że pochodzą z kradzieży!

— Choroba!... jak źle! — zdziwił się złodziej Kurodym i zgrzytnął zębami.

Sędzia poprawił nerwowym ruchem swój pończacany łańcuch na ramionach i rzekł:

— Oskarżony Rembaum, słyszyście, co mówi pan posterunkowy Giza?

ARTUR RZECZYCA

## BEZ KRESU

światło śpiewa  
przyjdź królestwo twoje

## DZIEŃ NOC DZIEŃ

w faldach powietrza przebite jaskółki  
ślukowe pochyłe obłoki stały szedł wieczór  
jak czarna chorągiew parł  
może nie jaskółki może człowiek to pod ramieniem obłoku  
i przesył go potop zimny  
w skrzydłach ogromnych upału  
olów olów żył bez uśmiechu  
steżale olowiane sadze zimne  
tylko pierś lekka płótna czarno metal gnie  
oddechem  
nad ziemią poryta jak mózg  
hymnem

a i turecki księżyc  
wywinął się skrzypcowy promień  
stodko brzęczy poranek  
a łóżko a tapety wezbrane  
nagości blask bliskość  
zakwita wieńcem serc  
jedno po ziemi toczy się drga  
słońce krzesze gwiazdy złote i mosiężne  
przemieniają się zworniki światła płasko  
nadchodzi noc tua  
dzień twój  
stanie na sztychach aut sztychach koni liniach śpiewu ptaków

OGRÓD - KAWIARNIA **K. DAKOWSKIEGO** w Bagateli

jest najmlszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy

KONCERT dwa razy dziennie - DANCING - COCKTAIL BAR - WYSTĘPY ARTYSTÓW

Krawiec Rembaum nabrał powietrza i rozpaczliwej odwagi. To było tak... Przyszedł jakiś człowiek z tobolem. Miał rozdartą rękaw. Prosił, żeby mu zacerować...

Szatan nie słuchał dalej. Wiedział lepiej od Żyda, jak to było. Uciekając z tobolem, zobaczył (a może tylko zdawało mu się, że widzi) w gęstniejących cieniach wieczorną czarną sylwetkę policjanta na zakręcie ulicy. Wiadomo, strach ma wielkie oczy, a on, Szatan, taszczył właśnie ze sobą tobół i co gorsza — mógł ściągnąć na siebie podejrzanie zwisający z łokcia rękawem, który był rozdarł o gwóźdź, złażąc pospiesznie z parkanu. Ale na jego szczęście, a na pohybel Żydowi — tuż obok była pracownia krawiecka. Nie myśląc wiele, wszedł i zażądał żeby mu zacerowali ten rękaw. I wtedy, u krawca odeszła go ochota taszczyć się dalej z tobolem po mieście. Złakł się że mogą go nakryć. Więc gdy przyszło do planowania wariata: niby że zapomniał pieniądze i nie ma czym zapłacić za reperację. Żalował bardzo i prosił, żeby się zgodzili wzięć tobół w zastaw. Obiecał przynieść na drugi dzień i wykupić. Wiadomo, naród żydowski chytry na pieniądze... Zgodzili się.

Ale na drugi dzień okazało się, że ten którego okradł był krewnym starosty, i miejscowa policja wychodziła ze skóry w poszukiwaniu skradzionych rzeczy. On, Szatan, nie był frajerem i nie myślał naraząc się dla głupiego toboła. Zresztą miał czas. Postanowił odczekać dni parę, póki heca nie przyjdzie, i wtedy dopiero wykupić swój zastaw. Tymczasem policja wpadła przypadkowo na trop i krawca aresztowano.

— Jestem niewinny, panie sędzio! — zapewniał krawiec Rembaum trzęsącym się głosem; był błady ze wzruszenia i szeroko otwartymi ustami łapał powietrze.

— Un jest niewinny! My jesteśmy niewinne! — zawodziła żona krawca, istna wiedźma o złotej twarzy, haczykowatym nosie i czarnych kudkach. — Żeby go Bóg pokarał, tego złodzieja, za to co um nam

zrobił! — jęczała, wyrażając jedną ręką, a drugą łapiąc oblatujące z ramion strzepy żrudziącej chustki, — żeby umiał ciężką śmierć!

— Sza! sza! — krawiec Rembaum uczył żonę i zwrócił się z powagą do sędziego. — Ja mam pięcioro dzieci, proszę sądu! — powiedział ze smutkiem.

— ...i aże nie mają co jeść! — wrzasnęła wzdurna.

Wtedy Szatan przypomniał sobie, że w krawca rzeczywiście pięcioro bachorów zdycha z głodu i strapił się. Markotny, z niejasnym poczuciem winy, patrzył spode łba na sędziego, na Gizę, na krawca, na Żydówkę. I nagle: — Ścierwo! — rzucił znów, i już nie szepcąc lecz półgłosem, tak że ci co stali przed nim obejrżeli się z zdziwieniem. Bo taka złość go wzięła na Gizę za to, że kłamie, że podstawił niewinnym ludziom stołek!

przed awanturą, lekko zamoczony, niby po kilku większych kieliszkach czystej, torując sobie w ścisłu lokami drogę, kierował się do stołu sędziowskiego. Stoczoną w przejściu między ławkami ciżba poruszyła się, roztrącana potężnym uderzeniem ramion Szatana, który niby pływak nurkował i wynurzał się z gęstego tłumu, póki nie wypłynął przed stół sędziowski. Tu, czerwony ze zmęczenia, zły potem, stanął między Żydami a Gizą, twarzą w twarz sędziego i ukłonił się.

— A to wy, Kurodym?... Znów na wolności? — zdziwił się sędzia. — Czego tu chcecie, co? — pytał ostro.

Szatan siąknął i nie spuszczał oczu z sędzięgo powiedział swoim niskim, ochrypłym głosem: — Te Żydy są niewinne! To chciałem tylko powiedzieć, proszę sądu! Są niewinne!

Na sali zrobiła się znów cisza tak wielka, że każdy usłyszał brzęk pozłacanego łańcucha, który sędzią podrzucił nerwowym ruchem na ramionach.

— Nie wiedzieli, że to był kradzieży! — dodał jeszcze Szatan, spoglądając z ukosa na Gizę wyprężonego słuźbiście na baczność.

— Nie wiedzieli? — Sędzia w ewej czarnej tozce i pozłacanym łańcuchu wychylił się za stół ku Szatanowi. — A wy skąd o tym wiecie, Kurodym, co?... Skąd wy o tym możecie wiedzieć? — pytał z naciskiem.

— Wiem! — odrzekł krótko Szatan i umilkł, bo nagle strach zaczął mu gardło tak, że już teraz nie mógł wydobyć z siebie słowa.

— Ale skąd? — dopytywał się sędzia. — Skąd, gadajcie zaraz! Może to wy sami... — cedził słowo za słowem, a złośliwy uśmiešek przewijał się po jego błędnych wargach. — Może to wy sami przynieśliście tea to-ból?

Szatan opuścił oczy. Ciarki mu przesyły po plecach. Czuł na sobie zimne, badawcze spojrzenie sędziego i nie wiedział jak na odpowiedzieć. Bał się teraz okrutnie i na próżno szukał w myślach jakiegoś lepszego wykrętu, kłamstwa, chytręgo wybiegu. To co był wymyślił wydalo mu się teraz głupie i nie do wiary. Przeszastył się, że mu nie uwieryą, i znów zamknął, tym razem — za fałszywe zeznanie. Głowięc się tak, posyłał nagle stuknięcie Gizowych obeców.

— To niemożliwe, proszę sądu! — wyjaśniał rzeczowo policjant. — Kurodym nie mógł przynieść tohola i w ogóle nie w tej sprawie nie może wiedzieć, bo w tym czasie, gdy popełniono kradzież, siedział jeszcze w więzieniu!

Szatan odniósł wrazenie, że ziemia rozstepuje mu się pod nogami. Co za choroba!... — myślał o policjancie. — Co za ścierwo!

Bo właśnie robił te kradzież u krewnego starosty najazutrz po wypuszczeniu z więzienia.

— Kurodym chce ratować oskarżonych — ciągnął Giza, — pewnie mu za to zapłacili, to jasne! — i policjant uśmiechnął się drwiąco.

Szatan oszołomiony słuchał tego wszystkiego jak w gorące. Wszystkie myśli mu się poplatły. W oczach wirowało zielone sukno stołu i łańcuch pozłacany na ramionach sędzięgo i rozlanceczony śmietnik na podwórku, tuż przy otwartym oknie. Pomyślał głos sędzięgo, ale tak niewyraźnie i z daleka, jakby z drugiego brzegu spienionej, luczającej rzeki.

— No, i co teraz będzie z wami, Kurodym? — mówił sędzia z groźną miną. — Widzę, że zmieniacie fach.

— Niby jak?... mruknął nie rozumiejąc.

— Ze złodzieja kierujecie się na przysięgłego fałszywego świadka, co? — sztydził sędzia. — Ale to kiepski fach! Nie popłaca! Zwłaszcza tu u mnie! Bo ja to się od razu poznam na takim ptaszku, jak wy! No, co?... Spuściliście z tonu! Słyszeliście, co powiedział posterunkowy Giza?

— Giza łże! — odparł Szatan gwałtownie. — Łże jak pies. Tak samo... — Milczcie! — huknął sędzia.

Lecz Szatan nie chciał dłużej milczeć. — Tak samo jak wtedy, gdy żelzał że robiłem kradzież u Szwarców, za co dostalem pół roku! — dowodził z uniesieniem, czerwony z oburzenia. — Teraz gada, że mnie tam nie było!...

— Milczcie! — powtórzył sędzia i uderzył ręką w stół.

Lecz Szatan i tym razem nie usłuchał. Było mu już wszystko jedno. Było tylko pognać tego drania Giza! Było mu udowodnić że łże!

— Więc ten to-ból przyniosłem właśnie ja, i Żydy o niczym nie wiedziały, a Giza łże! Tak!

Przekrzywionymi oczyma powiódł po sędzim, po Gizie, po Żydach. Wył wycisnęły się w kącie i wystraszona nie odzywały się. Nie poznali go. Była wtedy szarówka, gdy przyszedł z tym rozdartym rękawem.

— Łże jak pies, bo Żydy są niewinne! To ja... —

Jestecie aresztowani, Kurodym! — oświadczył sędzia podniesionym głosem. Był blady i z trudem hamował wściekłość jaka nim miala. — Będziecie odpowiadać z artykułu 146 kodeksu karnego za fałszywe samooskarżenie! — mówił przed zacięniętymi zębami. — Panie posterunkowy Giza, proszę tu zatrzymać aresztowanego. Zaraz się spiszę protokół.

Zaczem sędzia włożył na głowę rogaty biret i ogłosił: — Sąd zarządza przerwę! — i podniósł się z fotela, zaś woźny okrzyknął publiczność: — Proszę wstać! — i na sali dał się słyszeć przeciągły szurgot nóg. Wtedy Szatan zrozumiał: jest aresztowany. Za co? Za „fałszywe” samooskarżenie? I znów ma siedzieć?... Niedoczekanie! Jednym spojrzeniem zaszczeretego zwierzęcia objął sytuację jaka się wytworzyła. Niedoczekanie! Jednym gwałtownym a zgrabnym pchnięciem rzucił krawca na Gizę — przewrócił się obaj. Jednym skokiem znalazł się w otwartym oknie.

Wielka wrzawa, jaką posyłał na sali za swymi plecami, dodała mu ognia. Z okna skoczył na śmietnik, że śmietnika — na podwórku. Z podwórka wypadł na ulicę i biegł nie oglądając się wstecz, zabrukowaną kocimi łbami ulicą miasteczka na tyły domów. Za tyłami tych domów, za parkanami z nie chlowlawych desek — rozposzcirały się, jak okiem sięgnąć, szczerze pola, a z lewej strony, o wstórę drogi, nie więcej — czarny las. W tym lesie widział swój ratunek... Gwał tam co sił. Było tylko zdążyć do lasu...

Pędził teraz miedzą, wśród wysokich zbóż, gdzie czuł się już trochę bezpiecznie, ale przede nie tak jak w lesie. Pędził i myślał: po co mu było, głupieciu, wdawać się w ową awanturę? Zadzierać ze sprawiedliwości? Po co? Ale jeszcze teraz zół się w nim przelewała ze złości na Gizę i z oburzenia na jego kłamstwa. „Słuźbišta”! mały syn!

Słońce grało mocno. Spieczona ziemia, wysuszone zboża dyszały skwarem słodkim jak miód. W suchym morzu kłosew gęła bez przerwy muzyka świerszców, bąków i much. Szatan otarł krawiec pot z czoła. W skroniach słyszał dzwonięcie i muzykę rozbrzęczanych owadów. Gonił ostatkiem sił. Zdyszany pędził kłnąc w duszy Gizę i sędzięgo i całą tę ich diabelską sprawiedliwość. Wtenczas gdy przysięgał że jest niewinny, że nie robił tej kradzieży u Szwarców, nie uwieryli mu i wlepił pół roku więzienia. Teraz znów, gdy się przysięgał, również mu nie wierzą i chcą go zamknąć za „fałszywe” samooskarżenie? Więc gdzie jest prawda? I gdzie jest sprawiedliwość, do cholery?!

Las. Zapachniało sośniną i gorzką wilgocią. Wtęnoło zielonym mrokiem. Szatan zaszył się w jałowce i pomykał wśród drzew. Niezliczone zastępy czarnych pniów brały go w obronę. Tu czuł się już bezpieczny. Przystanął, żeby wytchnąć chwilę i rozejrzeć się w poszukiwaniu wody — umierał z pragnienia. Droga na leśniczówkę była daleka. Do rzeki, na łąki było bliżej, ale niebezpiecznie. Głowił się tak nad obraniem kierunku, gdy nagle posyłał trzask przydepowanego chróstu i serce stanęło mu w gardle. Opodał spod zielonego koczucha jałowców wynurzała się głowa i ramiona, obciążone pięknym granatowym sukniem... To Giza, który deptał mu po piętach!

Jak szalony rzucił się do ucieczki wprost przed siebie — i w jak najgorszym kierunku, bowiem las w tej stronie przerzedzał się coraz bardziej; zaczynały się poręby. Głos Gیزی różnił się wielkim echem wśród drzew: — Szatan! Sza-a-tan! Stój, ho strzelam!

— A strzelaj, draniu! — pomyślał Szatan z wściekłością, pędząc co sił w nogach.

Strzał jak piorun potoczył się z piekielnym odgłosem po lesie. Szatan schował głowę w ramiona. Trach! Trraach!... Po drugim strzale posypały się na głowę Szatana zestrzelone gałązki sośniny. — Dobre strzela, łobuz! — pomyślał z uznaniem i biegł dalej. Wtem uczył ostrą, przeszywającą ból w krzyżu, nogi się pod nim ugęły, kleknął. Złjęty nagle, strasliwą trwogą, nie słyszał strzału. Zdażył tylko jeszcze pomyśleć z gorzycą: — Sprawiedliwość!... — i westchnąć bezgłośnie: — O, mamo!... — poczem noc przesłoniła mu oczy. Zwałił się na ziemię, brocząc obficie krwią.



Zdjęty świętym oburzeniem, głowił się teraz nad tym, w jaki sposób można by Żydom pomóc! Chciał ich ratować! Chciał wyrwać z kłamstwa, jakim oplatał ich Giza, i nie znajdował sposobu. Trudno było walić z Gizą, nierówna walka, Giza ma przeciętą wagę, sędzia wierzy Gizie! Ach, ten Giza, taka jego mać! Jak to się przeży na baczność, choroba! Żebyś zdechł, łobuzie! — pęcił się, nie spuszczał oczu z wyprężonego przed stołem sędziowskim policjanta.

Na sali, pomimo otwartych okien, zrobiło się niemożliwie gorąco i duszno. Chłopskie kapoty i żydowskie chałaty puściły woń gnoju, potu i loju, a z pobliskiego ustepu z podwórka ciągnął przez parterowe okna nieznośny smród. Szatan splunął ze wtrętem na czysze buty i w tej samej chwili posyłał ostry głos sędzięgo:

— A czemu oskarżony od razu nie odniósł tohola na policję, co?

Sędzia powtórzył surowo: — No, czemu nie odniósł? — i zaraz Giza jak ten pies, który się lasi u nóg, warknął przypochlebnie: — Właśnie!..

Krawiec Rembaum zamachał rozpaczliwie rękami: — Kto mógł przewidzieć takie nieszczęście, panie sędzio?! Kto to mógł przewidzieć?!

„Przewidzieć”? — wtrącił zjadliwie posterunkowy Giza i wruszył lekceważąco ramionami, obciążenymi pięknym granatowym sukniem. — Ustaliłem w drodze poufnego wywiadu, proszę sądu — kłamał jak z nut, — że oskarżeni dobrze wiedzieli o pochodzeniu tohola z kradzieży!...

Szatan poczuł, że krew jak ukrop uderzyła mu do głowy. Wszystkie wnetrznosci w nim się przewróciły. Było widoczne, że Giza chce podstać Żydom stołek — niedoczekanie jego! On, Szatan, nie mógł tego ścierpieć! Nie szło już o głodne bato chory krawca, czort z nimi! Nie szło o sprawiedliwość czy niesprawiedliwość (głupie szuka sprawiedliwości na tym świecie). Ale szło o to, żeby Giza tym razem nie był wygranym! Żeby nie triumfował, ścierwo — jak wtenczas gdy jemu, Szatanowi, wlepił niesłusznie pół roku więzienia!

Niedoczekanie jego! — wściekał się Szatan czując na twarzy wypieki. Zabolala go teraz własna, niedawna krzywda. Ponośliło go z dzikiej chęci zemsty. Uczuł znów szum w uszach i zamroczenie jak przed awanturą, ale już się teraz nie bał. Różne mgliste pomysły ratowania Żydów kotlowały mu się jeszcze w głowie, a wszystkie — na nie. Był tylko jeden sposób na Gizę i Szatan. Płatracz z głuchą mienawością na szerokie plecatracz obciążone granatowym sukniem, zrozumiał że nie zostało nic innego, jak tylko łapać się tego jednego sposobu, było nie było, taka jego mać! i podać się na świadka.

Medytował jeszcze chwilę. Gdy go zapytają co tam robił, powie że właśnie przechodził ulicą koło tego domu, gdzie mieszka krawiec, i widział przez otwarte okno tamtego człowieka z tobolem i rozdartym rękawem wewnątrz mieszkania. Powie nawet, że słyszał rozmowę... Choroba!... — gotów jest powiedzieć wszystko, byle tylko Giza nie był tym razem wygranym!

I kiedy sędzia odezwał się z rozdrażnieniem do oskarżonych: — Lepiej przyznać się! Będzie łagodniejszy wyrok! — Szatan pomyślał z determinacją: „Było nie było” — zebrał się w sobie, siąknął i rozpełnął naciskających go chłopów. Bo już teraz po tym odezwaniu się sędzięgo, było wiadomo, że Żydy wezmą najmniej po trzy miesiące aresztu, i Giza będzie wygranym znów — niedoczekanie jego!...

Szatan tedy rozpełnął naciskających go chłopów i z rozumem w uszach jak zwykły

T. S. ELIOT

WĘDRÓWKA TRZECHKRÓLOWA

Mroźną mieliśmy podróż.  
Toż to najgorsza w roku pora  
na wędrowanie, na tak daleką wędrowkę!  
Ta trudna droga, surowa pogoda,  
Sam środek zimy...  
Te wielbłądy kulejące, kraprąbne, rozproszone,  
pokładające się w wilgotnym śniegu...  
Zal nam było niekiedy  
letnich pałaców na stokach wzgórz, tarasów,  
jedwabistych dziewcząt, co częstowały z orszakiem  
Ci poganiacze wielbłądów z kłutwami, z narkotamiem  
uciekający, bo zachciało im się trunku i kobiet...  
Ogniska nocne gasnące, bezdomność,  
te miasta wrogie, grody nieprzejazne,  
te wioski brudne a drożące się...  
Trudny był dla nas ów czas...

Pod koniec milej nam było wędrować całą noc  
a spać być jak,  
podczas gdy głosy śpiewały nam w twarz:  
— to wszystko było szaleństwem...  
Wreszcie o brasku zastąpił się w łagodną dolinę  
niższej granicy śniegów. Pachniała zielenią i wodą.  
Tam bystra struga i młyn były w ciemność,  
tam trzy drzewa na niebie niskie,  
tam stary siewoz gwał po łące.  
Dotarliśmy potem do gospody, co miała ganek w winorośli;  
szczęść rak w otwartych drzwiach rzucalo kości o srebro,  
a nogi kopaly puste miechy po winie.  
Nie dowiedzieliśmy się tam niczego. Przeto zdążyliśmy dalej.  
Kres wędrowki wypadł o zmierzchu, nie wcześniej.  
Znaleźliśmy owo miejsce. Można rzec — dobrze się stało.

Wszystko to, co pamiętam, działo się bardzo dawno.  
Wędrowałem raz jeszcze, ale zapiszcie w księgach,  
zapiszcie to:  
„Czyli nas wiodła ta daleka droga  
po Narodziny czy po Śmierć? Bo tak, bo były Narodziny,  
świadczymy, były. Bez wątpienia... Widziałem narodziny i śmierć,  
lecz myślałem że różnią się czymś. Te Narodziny były dla nas  
jak ciężka i gorzka agonja, jak śmierć, nasza śmierć...“  
Wróciłiśmy do naszych krain, tych Królestw.  
Ale nie było nam tak dobrze w nich, jak oni,  
z obcym ludem, co w swe szpony chwytła bogów...  
Radbyśmy był śmierci ponownie...

Przełożył JÓZEF CZECHOWICZ

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

KONRAD WINKLER

## „NATURALIZM” GIERYMSKIEGO

Nie jest to, zdaje się, bez znaczenia, że Muzeum Narodowe w Warszawie związało uroczystą inauguracją swego gmachu z otwarciem retrospektywnej wystawy Aleksandra

mógł się naleźć rozwinąć i utknął w impasie. Dawał on w swej zasadniczej koncepcji to co się zwykle widzi, a nie to co jest godne widzenia. Jego twórcza formuła, jego

nam dzisiaj Al. Gierymski. Posiada on wprawdzie w swym dorobku prace słabsze, niemal „naturalistyczne”, ale to są przeważnie studia przygotowawcze, szkice itp. Inne sprawy jego „kuchni” malarskiej, których on nie ukrywał ani nie niszczył (jak Cézanne) — i dlatego może jego komentarze wpadają w takie teoretyczne dywagacje.

Zgola inaczej przedstawia się ta sprawa na froncie literatury. Tam ruch naturalistyczny, zapoczątkowany przez Flauberta i braci Goncourtów, opierał swoje przesłanki stylowe przede wszystkim na nowym materiale, na specyficznym stosunku do współczesnych zagadnień społecznych, etycznych i obyczajowych. Tam chodziło o zgola inne rzeczy, aniżeli u realistów drobnomieszczanek w typie Balzaca — inny był tam również gatunek treści i psychologicznych spekulacji. Ta okoliczność, że w przeciwieństwie do literatury nie istniała we Francji malarska „szkółka naturalistów” — powinna nam

dać wiele do myślenia. *Malarzskim odpowiednikiem literackiego naturalizmu był tam nieuchwytliwie impresjonizm Cl. Moneta, Sisleya i Pissarra, który, teoretycznie biorąc, zawsze sąsiadował z naturalizmem, w istocie zaś był w owym czasie jedynym nowym, całkowicie suwerennym porządkiem formalnym i barwnym. Można by nawet śmiało zaryzykować twierdzenie, że impresjonizm uratował malarstwo drugiej połowy XIX w. od naturalistycznego i secesyjnego zakłamania, że panującym podówczas prądem duchowym i intelektualnym dał w plastyce odpowiednią formę artystyczną, równie wielką i płodną, jak style największych, najbardziej wartościowych epok. Impresjonizm oczyścił atmosferę ówczesnego pozytywizmu z outrance, transponując przesłanki ruchu naturalistycznego w literaturze w innych kategoriach: w muzyce — na formę muzyczną, w plastyce — na formę plastyczną. Impresjonizm nie tylko zdołał rozjaśnić paletę*



ALEKSANDER GIERYMSKI

Portret własny

Gierymskiego. Zorganizowaniem tego wyjątkowego pokazu zadokumentowano niejako stosunek do owej bohaterkiej wprawdzie, lecz jakże równocześnie niebezpiecznej epoki, którą wielu z nas uważało za przepadłą. Bo ataki naszych i zagranicznych modernistów na naturalizm, na „beźmyślnie kopiowanie wycinków natury” miały jednak na ogół wiele uzasadnionych racji w czasach, kiedy nieomal skandalicznie przykład, idący z wyżyn artystycznego Olimpu, ośmielił plastyczny i literacki półświatek do serijnej przeróbki odpadków życia i natury. Szlachetny entuzjazm pierwszych impresjonistów wobec

estetyka, sąsiadująca pozornie z realizmem dziewiętnastowiecznym, ze sztuką Courbetta i Maneta — teoretycznie nie dały się obronić, bo malarstwo, które wyrzeka się konstrukcji formalnej i barwnej na rzecz przypadkowego układu w naturze, tym samym wyrzeka się wszytkiego. Czy zatem pojęcia „naturalizm” w stosunku do sztuki Gierymskiego nie nadużyto i czy może nie wykoślawiła znana fałszerka ideji: dwuznaczność słowa? Czy Gierymski był w tym pojęciu „naturalistą”, czy też po prostu *realistą*, komponującym autonomicznie swą „prawdę obiektywną” wedle wskazań własnego smaku i subiektywnego poczucia ładu i umiaru? Być może, iż dla estetyków XVII w. współcześni malarze holenderscy, a z nimi francuscy realisci tacy jak Chardin i Baugin, byli „naturalistami”, tak jak „naturalistą” wydaje się



ALEKSANDER GIERYMSKI

Wnętrze Bazyliki San Marco w Wenecji

ALEKSANDER GIERYMSKI  
Książę pijący wino

przyrody sprowadził na świat istną plagę egipską w postaci masowego „oddawania się naturze”. Stoki Tatr czy malownicze wybrzeża południowej Francji pokryły się sterzącymi sztalugami dyletantów gwałcących bezkarnie naturę, a ściany pompierskich „salonów” — tysiącami kiczów i studiów przedrzeźniających sztukę. Czy w tej masie popolitego głupstwa i naiwnego snobizmu można było dościsnąć się do niezwykłej rzetelnej i twórczej sztuki Aleksandra Gierymskiego i jemu podobnych?

W opinii modernistów naturalizm nie

## MALARSTWO CECHOWE

Staraniem Biblioteki Instytutu Francuskiego w Warszawie wyszło w Paryżu po francusku niezmiernie interesujące dzieło doc. Michała Walickiego o cechowym malarstwie ołtarzowym w Polsce za czasów Jagiellonów<sup>1</sup> ze wstępem prof. P. Francastela i 66 osobnymi planszami rotograviurowymi. Doc. Walicki, wielce zasłużony badacz i popularyzator średniowiecznej kultury plastycznej na ziemiach Rzeczypospolitej, obok pierwszorzędnych zalet systematycznego inwentaryzatora i znawcy epoki posiada również nie byle jaki dar zjednywania sobie czytelnika, dzięki prostocie i przejrzystości swej pisarskiej faktury, zachowującej tak i umiar w podawaniu materiału naukowego i wartościowaniu go z punktu widzenia nowoczesnego historyka sztuki.

Naukowy obiektywizm autora idzie przy tym w parze z jego wrodzonym poczuciem estetycznym, co w rezultacie przyczynia się do nasycenia miłej atmosfery jego książki sugestiami o nieco subiektywnym zabarwieniu. Całkowita bezamiętność historyka

sztuki, tak zalecana przez naukowców — jeśli idzie o dzieło tego typu, co książka doc. Walickiego — nie wydaje mi się zbyt pożądana. Tam bowiem, gdzie rola historyka sztuki nie polega jedynie na biurokratycznej inwentaryzacji zabytków kultury pięknej, lecz przede wszystkim na ich wartościowaniu, — tam nie może się obejść bez podświadomego udziału osobowości u-czonego, jako istoty obdarzonej pewnym smakiem i kontemplującej swe aspekty estetyczne w granicach osobistych przeżyć i wyobrażeń. I właśnie dzięki temu osobistemu spojrzeniu autora na ową zamierzchłą epokę nabiera ona jakiegoś żywszego w tej książce rumieńca.

W swej metodzie badania Walicki okazuje się raczej ostrożnym syntetykiem, zmierzającym do ustalenia pewnych praw ogólnych, wedle których kształtowały się w owych czasach widzenie artystyczne i poczucie stylu. Walka o ten styl na rubieżach dwóch różnych epok i krzyżujące się wzajemnie wpływy obce z postawą duchową i intelektualną rodzimego środowiska — oto to historyczne tło interesującej książki, legitymującej dostatecznie rodowód naszej kultury pięknej w obliczu Zachodu.

Al. Gierymskiego, ale równocześnie — na przekór naturalizmowi — wskazał nam drogę do ujednoczenia elementów obrazu. To sprowadzenie malowidła do wspólnego mianownika: do harmonii, to uogólnienie i zarazem uproszczenie artystycznego „widzenia” — to już dalekobieżny naturalizm; to twórcza predyspozycja artysty, szukającego skwapliwie drogi do wyrażenia w swym dziele jedności kosmicznej świata. A zatem nieuchronny, bo podłykowany nakazem chwili, megalians między literackim naturalizmem i impresjonizmem w plastyce nie mógł się obejść bez tradycyjnej intercyzy, regulującej wzajemny stosunek stron i pozostawiającej im zupełną swobodę działania na własnym terenie.

Pozostaje jeszcze jedno pytanie: jaka zachodzi różnica między stanowiskiem impresjonisty i naturalisty? Otóż jedna i druga pozycja opierała się w zasadzie na „spojrzeniu w czasie” i na wiernym, bezpośrednim „oddaniu natury”. Skoro jednak impresjonista tworzył na swój sposób „jedność w wielości”, zorganizowaną po malarzku wizję świata — to naturalista żądował się tylko jego fragmentem. Ów fragment, ów „wycinek natury”, którego ideałem była kolorowa fotografia, stanowił jego materiał wizualny, mniej lub więcej przypadkowy, łatwy do odfcyfrowania przez ludzi nie ukształconych, ale niezmiernie trudny do zorganizowania w obraz. Pozornie obiektywne widzenie świata u impresjonisty wy-

K. W.

<sup>1</sup> MICHEL WALICKI: *La peinture d'autels et de retables en Pologne au temps des Jagiellons*. Avec une introduction de Pierre Francastel. Paris 1937, Société d'Édition „Les belles lettres”, str. 46 in 4°.

magalo czujnej współpracy intelektu, wymagało ustawicznej kontroli tych wszystkich czynników, które w procesie tworzenia regulują niejako wzajemny stosunek między fizycznym i duchowym widzeniem świata, między bierną czynnością fotograficznego obiektywu i wizją malarską. Naturalizm w malarstwie usiłował przedstawić swe „dokumenty natury” w sposób podobny, w jaki to czynił naturalizm literacki przy pomocy swych *documents humains*; w przeciwieństwie jednak do literatury, materiał i środki malarza-naturalisty były za ubogie, za mało atrakcyjne, a jego twór mógł być jedynie tolerowany jako studium pomocnicze, jako surogat obrazu, nie zaś jako dzieło malarskie o organicznej więzi stylowej. Drobiazgową, pedantką obserwację szczegółów, które u Holendrów miały swój sens jako element implikujący plany i pozycje przedmiotu w przestrzeni, oraz jako kontrast formalny o założeniu dekoracyjnym — posunął naturalizm aż do przesady, był selektywny w współpracy smaku i intelektu. Innymi słowy, naturalizm *pur sang*, naturalizm jako metoda twórcza okazał się w malarstwie wprost nie do przyjęcia i mógł jedynie zainteresować nieszkodliwych dyletantów, twórców okolicznościowych „panoram” i upartych wystawców pompierskich „salonów”.

I jakże w takim niepewnym interesie pomieścić konstruktywny realizm Al. Gierymskiego? Nie chodzi tu bynajmniej o racjonalne i „fachowe” zaszukanie twórczości tego znakomitego kompozytora



ALEKSANDER GIERYMSKI

Piazza delle Erbe w Weronie

i kolorysty; lecz tłumaczenie „na urząd”, że jego „naturalizm” był inny, że był w całej pełni twórczy i konstruktywny, jest doprawdy rozbrajające i zmusza do sprzeciwu w imię zdrowego sensu i najprymitywniejszych zasad logicznego myślenia. Artyści często się skarżą na mieszanie pojęć w publikacjach naszych sprawozdawców artystycznych, sami jednak potrafili nieraz tyle namącić, że przeliczować ich na tym punkcie byłoby niezmierzenie trudno.

Powracając do Holendrów sądzę, że Al. Gierymski wiele się od nich dobrego nauczył. Nie wątpiłby zdawał on sobie z tego w całej pełni sprawę, że malowanie szczegółów przez tych wielkich realistów ozna-

czył nie tylko ich specyficzny stosunek do rzeczywistości widzialnej, lecz także (i to głównie) ich wyjątkowe poczucie stylu malarskiego. Weszłam oni pierwsi zaczęli tworzyć owe sławne martwe natury, których układ formalny i barwy nie ostatnim a niedoścignionym wyrazem artystycznego smaku i nie ma w sobie bynajmniej nie przypadkowego. Ten fakt wymowny ze Holendrów, obok swej fenomenalnej wiedzy o przedmiocie, komponował też przedmioty na swych obrazach, nagajając niejako przyrodę do malarskiej architekturalnej powzięcia *a priori* — wyklucza ich sztukę całkowicie z orbity naturalizmu, co *mutatis mutandis* da się również zastosować do sztuki Gierymskiego.

Mającą sprawę stosunek naturalizmu w literaturze (któremu również chodziło o formę i o budowę dzieła) do ówczesnej plastyki nie da się w zwyczajnym artykule głębiej wypowiedzieć i zanalizować. Niech nam wystarczy to, że rolę naturalistycznej herezji na odcinku plastyki odegrało malarstwo impresjonistyczne, odegrała ją *con amore*, ale na swój właściwy sposób; jedyną więzią ideową, łączącą te dwie sztuki, było *piękno* — piękno bez apostołstwa, piękno bezinteresowne, piękno dla piękna, które genialny Flaubert cudownie nazwał „la religion de la beauté”.

Ta właśnie „religia piękna” łączyła malarstwo Gierymskiego ze współczesną duszą świata.

KONRAD WINKLER

## POLSKA W BRAZYLII

Sluchowisko Bolesława Żabko-Potopowicza, nadane ze studia Rozgłośni Warszawskiej przez Originalny Teatr Wyobraźni dn. 28 lipca, nie jest co prawda żadnym większej wagi osiągnięciem literackim, ale w repertuarze radiowym wydaje mi się pozycją usprawiedliwioną i cenną. Główną wadę stanowi połowiczność samego ujęcia: autor nie mógł się zdecydować, czy ma dać utworzyć czysto artystyczny, czy też realizować pewne cele społeczno-propagandowe. Jako skutek tego niezdeterminowania objawiły się w sluchowisku wyraźne dysproporcje kompozycyjne. Pierwsza część jest wyłącznie opisowa i pozbawiona akcji, druga — od chwili przybycia Strumińskiego — żywsza i utrzymana w pewnym dramatycznym napięciu.

Wymowa starego Macieja z Waleczkiem — niewspólnie długi w stosunku do dalszego ciągu, który przynosi i pożar stepów, i bójkę Waleczka ze Strumińskim, i bohaterkie wyczyny tego ostatniego, i wreszcie — pogodzenie się obu zwąśniących poszukiwaczy diamentów. Odpowiednie montaż mogłby bez większych spekulacji ten błąd kompozycyjny naprawić przez wprowadzenie jakichś interwałów do części drugiej, których celem byłoby wytworzenie sugestii, że od chwili pojawienia się Strumińskiego do odwrócenia przez wiatr w inną stronę fali wiewułego pożaru upływa dłuższy przeciąg czasu.

Prostolinijnie i dość schematycznie autor potraktował osoby swych bohaterów, ale ich charakterystyka podana została ze szlachetnym umiarem i wdziękami. Piękną postacią jest zwłaszcza stary Maciej — ojciec nieustraszonych pogromców puszczy, ongi sam „kwardy” pionier, z sercem podzielonym między dwie ojczyzny, tęskniący do dawności, ale ani przez chwilę nie dający odpocynku ręką. Niezwykle miłą wymowę liryczną ma moment, kiedy Maciej z ledwie skrywanym wzruszeniem opowiada wnukowi o polskich drzewach i ptakach, o śniegu — o pejzażu tej ziemi, której chłopiec nie widział nigdy. Moment ten w swej genealogii literackiej wywodzi się jakby od *Laternika* i niektórych listów amerykańskich Siemkiewicza, a w nastroju przypomina czarujący obraz Chelmonskiego z małym sielekiem pastuszkim, patrzącym na jesienno odłot hocianów. Tkwi w tym obrazie cały naiwny zachwyty dla przyrody, tajemniczy i zniewialający urok polskiej wsi.

Dobrze zarysowani są także Waleczak — nie wprowadzony jeszcze w trydy i niespodzianki gospodarki rolnej w Brazylii, ale tęskniący (jak każdy chłop polski) do posiadania i pracy, i Strumiński — śmiały nurek diamentonosnych wodospadów, zarządca przez koczowniczych Kabokłów niepokojem i pragnieniem przygody, bohaterki, pełen fantazji i temperamentu; właśnie ów temperament każe mu przekładać malowniczy żywot poszukiwacza skarbow na szary móżół powszedniego borykającego się z ziemią, która nie ze swojego łona nie chce darować bez walki.

Opisowa część sluchowiska zawiera przy tym pewne wiadomości, dotyczące metody pracy rolników w Brazylii i warunków to-

warzających bytowaniu kolonistów, ma zatem charakter popularyzujący i dydaktyczny. Jednak te uboczne pociągnięcia propagandowe i uświadamiające nie nużą słuchacza, który czeka przede wszystkim na urojenie — gdyż nie wymieniony przez speakera reżyser doskonale zestroili cały bieg sluchowiska z rzucliwymi i urozmaiconymi tlen akustycznym, w którym pomieścił i pejzaż i nastroj chwili i dramatyczną skalę narastania wydarzeń.

Jeśli chodzi o wykonawców, *Truoga w San Antonio* ujmowała słuchaczy przede wszystkim tym, że zespół głosów był wyjątkowo dobrany zarówno pod względem harmonijnych i dostatecznie zróżnicowanych w sobie współbrzmień, jak i pod względem efektów ekspresji i charakterystyki osób. Głos p. A. Boguskiego — metaliczny, choć równy i monotony, dobrze kontrastował z głębokim i matowym głosem p. A. Sochy, z jego poręczym i z lekka wrywanym sposobem mówienia. Udatnie spletał się z nimi głos p. Fr. Dominiaka, spokojny i giętko modulowany, prostacki a nabrzmiały treściami uczuciowymi, oraz głos młodego aktora w roli Janka — jedyny głos dziecięcy w tym zespole, o świeżym i pełnym rezonansie.

Dobór sił wokalnych, którego przykład dał nam właśnie anonimowy reżyser *Truogi w San Antonio*, jest wymownym wyrazem kultury słuchowej i potęgę w szerokiach rzeszacki radiosluchaczy wrażliwość na głos ludzki, będący nieobliczalnym w swych możliwościach instrumentem oddziaływania artystycznego i kopalnią najbardziej podstawowych środków ekspresji. Tylko bowiem przez głos odśpiewania nam Teatr Wyobraźni wnętrza ludzkie, uczucia, charaktery i uspołobienia — a one to przecież w tym dramacie radiowym, którego osi stanowią konflikty międzyludzkie i artystym gry psychologicznej, są głównym celem wysiłków od twórczych.

Len Lye, twórca pięknych, magicznych

Z. P. filmów kolorowych — wyświetlanych i w

## Z ZAGRANICY

*Transition* — czasopismo Joyce'a oraz grupy jego uczniów i kontynuatorów — obchodzi obecnie dziesięciolecie swego istnienia. W wydanym ostatnio numerze (27-ym) znajdujemy m. in. nowy fragment *Work in Progress* Joyce'a.

We wrześniu b. r. nastąpi w Mediolanie otwarcie wystawy Lionarda da Vinci. Obok dzieł artystycznych pokazane będą również i naukowe próby i prace Lionarda.

W ramach krytycznie opracowanego wydania dzieł wszystkich Hegla, rozpoczętego jeszcze przed 25-ciu laty przez Jerzego Lassona, ukazują się mają obecnie *Wykłady o dziejach filozofii* Hegla, w opracowaniu Jana Hoffmeistera. Wszystkie dotychczasowe wydania *Wykładów* opierały się na tekście ustalonym przez Micheleta niedługo po śmierci Hegla. Okazuje się jednak, że tekst ten oparł Michelet na źródłach niepewnych i że nie może on reprezentować rzeczywistej myśli Hegla. Prócz wypaczeń, płynących z posilkowania się źródłami o wątpliwej, a czasem żadnej wartości, tekst dotychczasowy zawierał sporo dotkliwych zniekształceń, wynikających z błędnego odczytania tekstu notat.

Na przykład: zamiast „to co prawdziwe” mamy w tekście dotychczasowym „to co jest”, zamiast „substancja” — „subiektywność”, zamiast „obrona” — „rozum”, zamiast „organizacja” — „dyspozycja” itp. Wydanie Hoffmeistera opiera się na obfitym materiale notat, użytkowanych i opracowanych w sposób jak najbardziej krytyczny, tak że spodziewać się po nim należy możliwie ścisłego oddania myśli Hegla.

Bechhofer Roberts wydał biografie Verlaine'a *Paul Verlaine*. Szczególnie wiele uwagi poświęca angielski biograf przyjaźni Verlaine'a z Rimbaudem.

Len Lye, twórca pięknych, magicznych filmów kolorowych — wyświetlanych i w

Warszawie na pokazach filmu artystycznego, organizowanych przez Spółdzielnię Autorów Filmowych — ogłasza obecnie w czasopiśmie *Life and Letters To-day* interesującą prozę pod tytułem *Song time stuff*.

Humphrey Hare wydał książkę o Rimbaudzie — *Sketch for a portrait of Rimbaud (Szkic portretu Rimbauda)*.

Willi A. Koch wydał zbiór listów romantyków niemieckich — *Briefe deutscher Romantiker*.

Willi A. Koch wydał zbiór listów romantyków niemieckich — *Briefe deutscher Romantiker*.

W Brukseli powstało międzynarodowe czasopismo muzyczne (kwartalnik) pod nazwą *La Revue Internationale de Musique*. Zawiera prace i artykuły nie tylko w języku francuskim, ale i w innych językach. Zeszyt pierwszy przynosi między innymi oświadczenia i pozdrowienia Bonnard, Laretelle'a, Duhamela, Artusa, Mikołaja Biedziejewa, Chadourne'a, Chaplina, Ropsa, Keyserlinga, de la Sale'a, Dreisera. Następnie znajdują tu artykuły o życiu muzycznym i sytuacji muzyki w różnych krajach — piszą je muzycy tych krajów; dalszy ich ciąg pojawi się w numerach następnych. Są tu obszerne studia o muzykach współczesnych i dawnych, recenzje o nowych dziełach muzycznych i książkach na temat muzyki, wykazy bibliograficzne z wszystkich krajów, wyciągi z czasopism muzycznych różnych narodów (*Table analytique des revues musicales*), katalog edycji nutowych całego świata (*Catalogue de musique contemporaine*). Całości dopełnia szesnastostronowy dodatek nutowy (*Cahier de musique inedite*).

Ukazała się nowa książka o Marlowie: Aurelejo Zanco *Christopher Marlowe*. Zanco widzi w Marlowie twórcę dramaturga, który pierwszy zmierzał do zastąpienia w dramacie zdarzeń zewnętrznych — przeżyciem wewnętrznym i do nasycenia akcji dramatycznej wewnętrzną koniecznością.

C. M. Franzero, autor niedawno wyszłej z druku włoskiej biografii Wilde'a — *Vita di Oscar Wilde*, posłużył się w swej pracy swoistą metodą. Zaczyna biografie od ostatnich lat życia Wilde'a, sięgając potem retrospektywnie w bliższą i dalszą przeszłość. Momentem, od którego rozpoczyna obraz życia Wilde'a — jest jego spotkanie z Gidem za granicą.

Ukazała się świeżo słowacki przekład *Krzyżaków* Siemkiewicza. Tłumaczem jest Andrzej Gernuszka, profesor sławistyki i znawca dzieł Siemkiewicza.

Chirico wystawia obecnie w Paryżu swoje gwasze. Jest to pierwsza od lat pięciu wystawa tego malarza w Paryżu.

Bernard Shaw ukończył niedawno 82-gi rok życia.

Ukazała się nowa książka o Marlowie: Aurelejo Zanco *Christopher Marlowe*. Zanco widzi w Marlowie twórcę dramaturga, który pierwszy zmierzał do zastąpienia w dramacie zdarzeń zewnętrznych — przeżyciem wewnętrznym i do nasycenia akcji dramatycznej wewnętrzną koniecznością.

C. M. Franzero, autor niedawno wyszłej z druku włoskiej biografii Wilde'a — *Vita di Oscar Wilde*, posłużył się w swej pracy swoistą metodą. Zaczyna biografie od ostatnich lat życia Wilde'a, sięgając potem retrospektywnie w bliższą i dalszą przeszłość. Momentem, od którego rozpoczyna obraz życia Wilde'a — jest jego spotkanie z Gidem za granicą.

Ukazała się świeżo słowacki przekład *Krzyżaków* Siemkiewicza. Tłumaczem jest Andrzej Gernuszka, profesor sławistyki i znawca dzieł Siemkiewicza.

Chirico wystawia obecnie w Paryżu swoje gwasze. Jest to pierwsza od lat pięciu wystawa tego malarza w Paryżu.

Bernard Shaw ukończył niedawno 82-gi rok życia.

Nr 24-25 „Pionu” poświęcony został w całości

## KAROLOWI IRZYKOWSKIEMU

i zawiera następujące prace:

**Tymon Terlecki:** Nielatwy żywot. — **Kazimierz Czachowski:** Myśli o Irzykowskim. — **Alfred Łaszowski:** O postawie Irzykowskiego. — **Jan Emil Skiński:** Licytacja. — **Zbigniew Polanowski:** Do klerka. — **Stefan Lichański:** Likwidacja romanizmu. — **Ludwik Fryde:** Aktualność „Walki o treść”. — **Karol Irzykowski:** Człowiek przed soczewką czyli Sprzedane samobójstwo, dramata w jednym akcie. — **Jan Aleksander Król:** Teatr Irzykowskiego. — **Hieronim Michalski:** Do redakcji „Pionu”. — **Kazimierz Wyko:** Recenzja z „Paluby”. — **Roman Kolonicki:** W czarkę Irzykowskiego. — **Tadeusz Peiper:** Niedyskrepcje. — **B. W. Lewicki:** Prawodawca bez posłuchu. — **Marian Piechal:** Książka lżejszego kalibru. — **Coh-i-noor:** W sztabuchu pana Karolowym. — **Wilhelm Korabowski:** A la maniere de... Karol Irzykowski. — **Edward Glowacki, Krzysztof Henisz:** Rysunki. — **Ikonografia.**

Stron 16 — Cena zł 1.—

## FRANCUZI GÓRA

## PRZEGLĄD PRASY

**TEATR KAMERALNY:** *Zbyt liczna rodzina* (*Chaleur du sein*), komedia w 4-ach aktach André Birabeau. Przełożyła Maria Serkowska. Reżyseria: Krystyna Severinówna. Dekoracje: Eugeniusz Markowski.

Półmłoty okres międzyczesonowy w życiu teatrów warszawskich zaznacza się w tym roku inwazją francuskich autorów na wszystkie mniejsze i większe sceny. W Polskim idzie od paru dni *Subretka* Devala, w Narodowym trwa na afiszu *Zielony frak*, w Letnim — *Bourrachon*, w Kameralnym — Birabeau...

Jak można by wytłumaczyć tę obecną hegemonię teatralną Francuzów? Wśród dostawców utworów scenicznych we Francji istnieje wyjątkowo wielka rozpiętość talentów i aspiracji; oprócz najwyższych szczytów spotykamy tu także szerokie niziny; „towa” na wszystkie pory i okoliczności czeka na amatorów, tematy w wielkim wyborze według upodobań, robota sceniczna tradycyjnie dobrej jakości; humor... A właśnie: humor francuski — nie na polu abstrakcyjnym, jak humor anglosaski, lecz „żywcioży”, uskrzydłowany logiką i pomysłowością, bliski człowiekowi przeciętnemu i jego powszedniości, tę powszedniość eksploatującej wszechstronnie jak przebogata kopalnię, umiejaczej z najpospolitszych typowych sytuacji i obserwując je z lupą siedem skór śmiechu i poprzez dowcipną aluzję ich żalną, osobliwą nagość ukazać — ale tylko tak żeby nie zepsuć zabawy, nie osiągnąć brutalnym gestem pod naskórek, nie wytrącić z milego trytmu...

Komedia Birabeau, grana w Teatrze Kameralnym, nie należy do gatunku najbliższego. Jej temat — życie rodzinne — to temat wieczny, we francuskim komediopisarstwie już od dawna klasyczny, ale ciągle modny, ciągle wznowiany, jednakowo ciągle kuszący i podatny; ambicją jest poprawienie jakiejś dawniejszej wersji, stworzenie nowego wariantu, coraz to inne zestawienie charakterów i temperamentów, coraz to inne meblowanie galerii ludzkich postaci i ich wzajemne kojarzenie. Sprawa wychowania dziecka, atmosfera życia domowego, wpływy rodziców i ich niespodziane reperkusje: oto kilka wątków problematyki Birabeau, nie spryncjalizowanych pedantycznie, po kaznodziejsku, lecz dotkniętych delikatnie a wyraziście. W ostatniej rozmowie Gilberta Quercy z ojcem autor daje wykład swej ideologii — chciałoby się powiedzieć: „maskulinistycznej”, przedstawiając jak prosto i pięknie pan Quercy przeobraża Gilberta z dziecka w dorosłego mężczyznę, jak subtelnie w tajemniczo go w istotę męskiego spojrzenia na życie.

*Zbyt liczna rodzina* zachwyca harmonią swej kompozycji dramatycznej. Wszystkie sytuacje mają tu pełnię i precyzję wyrazu, układają się dośrodkowo wokół prostolinijnej osi akcji głównej, wytworzący równomierne nasilenie ruchu i emocji. Umiejętność wyprowadzania z wyobraźni wspaniałych figur komediowych, realnych ludzi z krwi i kości a zarazem jakby półastralników poetyckich, posiada Birabeau w stopniu niezwykłym. Czyż nie znakomity jest ów papa Quercy, jednorazowy ojciec i wielokrotny rozwodnik, który przez ciągłe rozwydanie i nowe małżeństwa pragnie zapewnić odpowiednio korzystny plodozłomian dochoy w całej roślinie — synowi, a jednocześnie zaspoкої własną zmienność gustów i kapryśny, nienasycony egoizm? Albo te trzy matki, tak skonstruowane ze sobą wiekiem, usposobieniami i poglądami, a tak zgodne w przywiązaniu do Gilberta? Małym arcydziełem wydaje mi się postać pana Dallassiaud, z zawodu współwłaściciela i kierownika wielkiego przedsiębiorstwa, człowieka obdarzonego przez los dziedziennym talentem grafologicznym, który przekształca się — zgodnie z postępiami techniki — w pasję charakterologa, poznającego człowieka poprzez głos i przymioty dykcji.

Komedia Birabeau reżyserowała p. Severinówna: zrobiła to bardzo inteligentnie i bez żadnych jaskrawych efektów. Wnętrze sceny zaprojektował p. Markowski: jest ono niestety zbyt ubogie i zbyt ryzykowne w pewnych zestawieniach barwnych. Wśród wykonawców dużej klasy aktorem epizodycznym okazał się p. Edward Gliński (Dallassiaud). Trzy matki Gilberta, doskonale zróznicowane głosem, gestami i wyglądem, grały pp. Miedzinska, Relewicz-Ziemińska i Łopuszańska. P. Zbigniew Blichewicz, aktor o pięknym głosie i subtelnej mimice, byłby świetnym amantem w jakiejś wielkiej

komedii romantycznej (może tylko jest trochę za niski); u Birabeau raziła jego bezpośrednio liryczna w grze, skłonność do uczuciowych przerysowań roli, które pozbawiają humor Birabeau właściwej mu równowagi między szczerym śmiechem i prawdziwie tkliwym wzruszeniem. Epizod p. Janiny Gozdeckiej (Joan Bouvreuil) był ciekawy, lecz nie licował ze stylem aktorskim reszty wykonawców: wśród ich realistycznych kreacji była to rola zbudowana formistycznie czy kubistycznie. Wyróżnili się także pp. Oberska, Michalina Zamillo i Włodzisław Ziemiński.

**TEATR POLSKI:** *Subretka*, komedia w 3-ach aktach (5-ciu odsłonach) Jakuba Devala. Przekład Gustawa Olechowskiego. Reżyseria: Aleksander Węgielko. Dekoracje: Zofia Węgielkówna.

Myszę, że mit o Edypie i sprawa pięciopięciorców kanadyjskich mogą z równym powodzeniem stać się przedmiotem i tragedii i komedii i farsy. Chodzi tylko o to, że wszystkie aspekty owego „przedmiotu” muszą być ujęte w jeden system rzeczywistości artystycznej, w jednolitą, harmonijną wizję. Każdy gatunek sceniczny rządzi się niepięknym kodeksem estetycznym, który zapewnia utworowi estetyczną homogeniczność; nawet świadome odstępstwa od zasad owego kodeksu muszą być solidnie wylegitymowane. Dramaturg może się posługiwać kodeksem indywidualnym, ale wtedy tworzy po prostu — nowy gatunek.

Artyzm Devala już w *Rodzinie Massoubre* zdradzał niebezpieczny brak orientacji w hierarchicznym ustroju zjawisk, na które wzrok jego padał, i w ich determinantach teatralnych. Ukazując życie głównego bohatera, wybrał kilka oddzielnych momentów, jak kilka „klatek” z arendylgłej taśmy filmowej; sceny te przeprowadzone były z dżiką pasją naturalistyczną, z trywialną drobiazgowością, i przemieszane były z innymi, gdzie człowiek żywy, widziany już w sytuacjach pantoflowo-szafarokowych, staje się nagle symbolem, niemal medium czy zjawą astralną.

W *Subretce* Deval obiera sobie typowy pomysł farsowy (młoda Francuzeczka, która posłubia syna bogatego Amerykanina, zostaje pokojówką w jego własnym domu); pomysł ten wcale nie potrzebuje a probachy zdrowego rozsądku, lecz po prostu trochę fluidu poetyckiego i trochę cyrkowej złośliwości. Równocześnie jednak te postaci, którymi powinien się jedynie bawić jak bezwolnymi marionetkami, autor wyposaża w cały system sprężynierii psychologicznej, rzuca ich sylwetki na ekran problemów społecznych i kulturalnych, będących dyskretnym zresztą tłem. Tak np. pokojówka Françoise, będąca zarazem młodą panią Carrington, wywiązując się poprawnie ze swoich obowiązków działa także jako członek rodziny; instynkt współwłasności i spoiściści życia rodzinnego stanowią o konsekwencji jej czynów. Jej sposób kochania i lojalność wobec rodziny przeciwstawia Deval zinnemu egoizmowi Filis i naiwnym kaprysom Aurilou Massoubre.

Korzystając z nieporozumień i dwuznaczności sytuacji, w jaką wnikła cała rodzina Carringtonów, Deval rysuje również pewne odrębności etyczne, istniejące w społeczeństwie amerykańskim i francuskim — nie zupełnie na serio, ale również nie tylko dla dowcipu. Farsowy, kontrolowany jedynie samostarczalną logiką fikcji, bieg wydarzeń w sztuce zakłada akcentami odpowiedniemi raczej w melodramacie (kradzież Filis, próba samobójstwa Stanleya Carringtona), w wirze zabawy szelęci nagle kartkami ustawy karnej i wyinkami z prasowej kroniki wypadków. Myszę, że jest to wrodzony brak smaku artystycznego; Deval odczuwa między poezją buffo i obserwacją, między czystą logiką sztuki i praktycznym racjonalizmem psychologa i socjologa.

Triumfatorką wieczoru była Stefania Jarkowska, jakby urodzona do tej roli, pełna uroku i prostoty; część swego sukcesu zawdzięcza ona tłumaczowi sztuki, który świetnie przełożył francuską angielszczyzną Françoise. Reżyseria Węgielki koncentruje uwagę słuchacza na głównej bohaterce, ze szkoda dla pozostałych osób; i one powiniły również brać udział w koncercie. Bardzo gustowne były dekoracje Zofii Węgielkówny; jedynie okropna komoda w pokoju służbowym Françoise obarcza sumienie dekoratorki całym swym ciemnym ciężarem.

ROMAN KOŁONIECKI

Filozofia nie jest popularna w dobie obecnej. Większość współczesnej inteligencji uważa ją za nudną i niepotrzebną zabawkę umysłową; niezliczni tylko przyznają jej rację bytu w ramach ograniczonej, wąskiej specjalności. A przecież rozważania filozofów mają zasięg bardzo szeroki i wkraczają w najrozmaitsze dziedziny ludzkiego życia, wprowadzając je do światła i ład.

Najlepszym dowodem żywotności myśli filozoficznej jest ostatni zeszyt *Przeglądu Filozoficznego*. Przynosi on teksty odczytów, wygłoszonych na międzynarodowym kongresie paryskim w r. 1937. Niesposób omawiać wszystkich prac; z braku miejsca większość rozpraw wymienimy tylko z imienia. Są to: „Teoria poznania kartezjańska i idealistyczna” (A. Zóltowski); „W sprawie walki z metafizyką” (M. Kokoszynski); „Doniosłość badań logicznych i semantycznych dla teorii fizyki współczesnej” (Z. Zawirski); „Uwagi o metodzie w matematyce i fizyce” (St. Zaręmba); „Negatywne pojęcie przyczynowości” (M. Kreutz). Na szczególną uwagę zasługują prace Ingardena i Elzenberga, zdolne zainteresować każdego inteligentnego laika.

Prof. Roman Ingarden w studium „Człowiek i czas” subtelnie i wnikliwie rozróżnia dwa rodzaje odcucia czasu. „W jednym z nich wydaje się, że to co naprawdę istnieje to my *sami*, natomiast czas to jedynie coś pochodnego i tylko zjawiskowego; w drugim zaś przeciwnie: czas i dokonywane się w nim *przemiany* stanowią jedyną rzeczywistość, my natomiast jakichś zupełnie ulegli unicestwieniu w tych *przemianach*”. Rozwinięcie i zastosowanie do problemów konkretnych tych przeciwstawnych poglądów prowadzi do ważkich następstw praktycznych.

Studium prof. H. Elzenberga porusza doniosłe zagadnienie powinności i rozkazu. Czy powinność da się całkowicie sprowadzić do tego, co nakazuje przez przepis prawny lub obyczajowy, lub czyjąś, obcą wolę — oto kwestia. Autor usiłuje za pomocą subtelnej i precyzyjnej argumentacji wykazać, że tak nie jest; że powinność z istoty swojej, w głębszym, metafizycznym sensie tego wyrazu, z innych wywodzi się źródół i polega na czym innym niż rozkaz.

W piątym numerze tygodnika *Orka* na Ugorze Czesław Miłosz ogłosił grzmiejącą diatribę „Kłamstwo dzisiejszej „poezji”. Artykuł ten — jeśli wolno użyć tak prozaicznego wyrazu dla określenia patetycznego manifestu — zawiera jedną interesującą myśl. Oto pod wpływem t. zw. krytyki formalnej młodzi poeci mogli częściowo uleć błędnemu przeświadczeniu („do przebieg aktu tworzenia zmienia się bez ustanku, w zależności od prądów czasu, i błędne ujęcie zadań sztuki mści się przez skierowanie w nią fałszywą stronę”), że poezja zaczyna się i kończy na *chwilaach artystycznych* i może się obejść bez wielkich treści i wysokich natchnień. Jest to oczywiście nieuzasadnione i fałszywe wnioskowanie z pewnych *metod poznawczych*, które nie rozszcza sobie bynajmniej pretensji do *kierowania aktem tworczym*. Zagadnienie to należy właściwie do dziedziny teorii twórczości i moralności artystycznej, które niestety są dotąd w zaniedbanianiu. Odbija się to i na wystąpieniu Miłosza, które ma dziwnie kruchą konsystencję intelektualną i w gruncie sprowadza się do pustego truizmu o wyrażaniu siebie, upadku osobowości itp.

Z tą słabością konsystencji myślowej w zdumiewającym kontraście pozostaje ton artykułu, nie to jest namiętny, ale co gorza, zaczepny, inwektywny, nacechowany beznierną pychą i pewnością siebie oraz pogardą dla rówieśników i młodszych towarzyszy. „Po co piszesz, bando niedouków? Po co tomikami wierszy zaśmiecasz księgarskie wystawy?... Otrząsnąć pył z obuwia i odejść od was, od waszej samowchalej zgrań do ludzi i ich spraw wielkich i powikłanych...” Ten ton, nieczym w artykule nie wylegitymowany, rzęca dość dziwnie światło na wystąpieniu autora *Trzech zim*.

Jest rzeczą charakterystyczną, że *Wiadomości Literackie* systematycznie przemiłują publikacje poetyckie, powstałe poza kręgiem duchowych oddziaływań *Skamandra*. Nie mylimy się chyba stwierdzając, że ani *Nic wyciąg* Czechowicza, ani *Trzy zimy* Miłosza, ani *Wyprawy Zagórskiej*, ani *Wiersze i proza Świrszczyńskiej*, ani *Tropiciel* Rymkiewicza, ani *Dębem rosne* Fluksowskiego, ani *Utwory poetyckie* Valéry’ego

go w opracowaniu Kołonieckiego nie były na lamach tego tygodnika wymieniane poza bibliografią. N. t. talo się to bynajmniej przez przeoczenie. *Wiadomości Literackie* mają zdanie wyrobione o wszystkim, a więc także i o sytuacji w poezji; oto owo zdanie: „Podobne zjawisko obserwujemy w poezji: z jednej strony wspaniała (!), o jasno zarysowanych liniach, o wyraźnym profilu indywidualnym, liryczna skamandrytów, z drugiej — zlewająca się w jedno morze abrakadabry poezja awangardy w stylu lewiczewskiego-peiperowskim” (nr 30 z 17 lipca b. r. „Przeгляд prasy”). Trzeba pamiętać, że to zdanie znamienne jest jako mimowolne i pośrednie przyznanie się do zupełnego zaniku wpływu na młodą generację literacką.

Tygodnik *Prosto z Mostu* święci wydanie dwudziestego numeru. Jest to swego rodzaju jubileusz; z tej racji redakcja wydała numer podwojny szesnastokolumnowej objętości. W krótkiej i skromnej notce redakcyjnej czytamy, że głównym dorobkiem pisma jest wprowadzenie w świat literatury szeregu nowych nazwisk i nowych talentów. W numerze jubileuszowym jednak główne pozycje wyszły spod piór dobrze już znanych i dawno wprowadzonych. A są to pozycje rzeczywiście ważne i ciekawe. Ozonego numeru stanowią pisyne artykuły Nowaczyńskiego „Po Maurrasie Maurois”, który należy zaliczyć do najświetniejszych stron autorstwa *Przeглядu*. Ciekawe uwagi zawiera artykuł Tytusa Czyczewskiego o Matejce, rehabilitujący twórcę „Holdu pruskiego”, tak namiętnie zwalczanego przez modernistów. Szczególnie trafna wydaje się nam myśl: „Nado a może przede wszystkim Matejko był znakomitym portreciścią”. Trzecią pozycją godną przeczytania w tym numerze *Prosto z Mostu* jest artykuł prof. St. Kołaczewskiego o ekspresjonizmie w powieściach historycznych Brzozowskiego. Mało kto wie, że autor *Legendy Młodej Polski* i *Płomieni* napisał także *Samego wśród ludzi*, jedną z najoryginalniejszych powieści historycznych w literaturze polskiej. Obecnie Instytut Literacki wydaje ten utwór ponownie. Przy tej okazji warto przypomnieć, że w *Czynie i słowie* Przykrowskiego znajduje się znakomite studium o *Samym wśród ludzi*. Uwagi prof. Kołaczewskiego w niejednym punkcie spotykają się z wywodami autora *Walki o treść*.

Nowy numer *Signalów*, z dn. 15 lipca, przynosi dwie wartościowe pozycje. Leon Kruczkowski ogłasza fragment zapowiadającej powieści historycznej z czasów Stanisława Augusta, prześlizgnię obrazek „Obiad czwartkowy”; Ignacy Fik drukuje godny jak najżywciej uwagi artykuł „Nie zapomnijmy o *Beniaminku*”. Wbrew pewnej tendencji *Signalów*, które dość chętnie kokietują *Wiadomości Literackie*, autor odważa się krytycznie ocenić działalność Boya, twórcę wielbielnych balwochwalczo przez Hollendra skamandrytów, itp. O „wspaniałej” liryce skamandrytów czytamy następującą uwagę: „Zuchwała otwartość, trywialna ekspresja, płytka filozofia i słownictwo codziennego życia uczyniły tę poezję bliską mieszaństwu”.

Na specjalne podkreślenie zasługują ta godna obszerniejszego rozwinięcia myśl Fika, że „jeśli chodzi o rodowód społeczny i charakter ideowy literatury (polskiej), rok 1918 nie jest datą przełomową. Pod tym względem bardziej decydująca dla literatury był rok 1905”.

Niejednokrotnie pisaliśmy w tym dziele o poezniskiej *Kulturze*, zaważe z *Życiowicia*, poddyktowaną przez sympatię dla ideowego kierunku tego tygodnika, jak również dla objawiającej się w nim woli obiektywizmu w ocenie zjawisk kulturalnych. Niestety, musimy wreszcie podkreślić, że pismo to jest bardzo nierówne i zamieszane nieraz pozycje wprost kompromitujące. Taką pozycją są w większości swej artykuły i recenzje p. Anny Zahorskiej. W nr 29 *Kultury* w artykule o „atomizowaniu literatury” pisze ona: „Zły czar rzucił Józef Ujejski jako profesor literatury polskiej. Z jego lekkiej ręki już wreszcie polonisci wychowujący przyszyłych poetów zajmowali się najdrobiazgowszą analizą, rozszepianiem włosów (!)”. Każdy kto był uczniem prof. Ujejskiego musi kategorycznie zaprzestować przeciwko temu glosłownemu i najzupełniej fałszywemu twierdzeniu, które rzęca cież na pamięć wybitnego uczonego i wychowawcy.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Admistracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekst; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Koloniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński